

Autorytety

Maurycy Allerhand (1868–1942)

wybitny jurysta, który łączył

ADAM REDZIK

Prof. Maurycy Allerhand był jedną z najbarwniejszych i najbardziej lubianych postaci wśród ciała profesorskiego Wydziału Prawa Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. Pozostając ortodoksyjnym Żydem – tak przynajmniej postrzegali go niektórzy studenci i koledzy – potrafił jednoczyć wokół siebie wszystkich, a na jego seminaria, które czasami prowadził we własnym gabinecie adwokackim, znajdującym się w prywatnym mieszkaniu na pierwszym piętrze pięknej i okazałej kamienicy przy ul. Jagiellońskiej 20/22, uczęszczali studenci nie tylko trzech narodowości i konfesji, ale zupełnie różnych orientacji politycznych. Wnuk Profesora, dr Leszek Allerhand, wspominał, że w 1938 r., gdy na uniwersytecie studenckie organizacje nacjonalistyczne powiązane z Młodzieżą Wszechpolską żądały wprowadzenia gett ławkowych oraz ogłaszały kolejne „dni bez Żydów”, blokując uniwersytet, to Dziadek otrzymał specjalną ochronę – właśnie od działaczy tej organizacji.

Co sprawiło, że Maurycy Allerhand był człowiekiem, który łączył? Potrafił pogodzić kolegów w Komisji Kodyfikacyjnej RP, w Radzie Wydziału, w adwokaturze, ale też jakże skłóconych współwyznawców, którzy w pierwszych wyborach do gminy wyznaniowej wskazali go na przewodniczącego, choć znali jego asymilatorskie poglądy – wówczas już reprezentowane przez mniejszość, ponieważ na przełomie lat 20. i 30. XX w. we Lwowie dominował syjonizm.

Niewątpliwie wynikało to ze szczególnych cech osobowościowych, ogromnej wiedzy, doświadczenia i szacunku do drugiego człowieka, z wrodzonego, dobrze pojętego humanizmu.

Prof. Maurycy Allerhand był człowiekiem, który pozostawił po sobie nie tylko ogromny i pożytkowany do dziś dorobek naukowy i kodyfikacyjny. Pochylał się nad bardzo wieloma gałęziami prawa, czego dowód znajdujemy nie tylko w jego autorskich dziełach komentatorskich, ale w kilkuset recenzjach jakże zróżnicowanych tematycznie książek, które opublikował na łamach „Przeglądu Prawa i Administracji”. Oprócz prawa prywatnego, handlowego i procesowego żywo interesował się etnologią prawa, przygotowując m.in. bardzo ważną i aktualną do dzisiaj rozprawę pt. *Prawo imion*. Wolne chwile poświęcał na rozwiązywanie zagadek matematycznych – przy małej czarnej w kawiarni lwowskiego Grand Hotelu. Czyżby promieniowanie szkoły Stefana Banacha?

Wielkość jego życia i dokonań zamyka tragiczna śmierć w sierpniu 1942 r. w Obozie Janowskim we Lwowie, gdzie został zamordowany po tym, jak zaapelował do sumienia policjanta w jego języku, ukraińskim. Wtedy sumienia nie obudził, ale dzisiaj jego postawa

może być – nie tylko dla prawników, ale dla wszystkich ludzi – wzorem okazywania szacunku, mimo różnic światopoglądowych, narodowych, religijnych, politycznych.



Prof. Maurycy Allerhand (1868–1942), portret pędzla Marka Münza (1872–1937) z ok. 1930 r.

Maurycy Allerhand pochodził z Rzeszowa, gdzie 28 czerwca 1868 r. urodził się w zasymilowanej rodzinie żydowskich posiadaczy ziemskich, Hermana i Rebeki z Wohlfeldów. Miał dwóch braci. Wszyscy trzej w przyszłości ulegli asymilacji. Starszy brat, Artur, przejął polskość do tego stopnia, że zmienił nazwisko i wyznanie. Młodszy – Józef – wyjechał do Berlina, by tam po rozwinięciu działalności biznesowej dorobić się dużej fortuny. Niestety wkrótce po dojściu Hitlera do władzy, pozbawiony majątności, wraz z rodziną stracił życie.

Maurycy, który w młodości używał imienia Mojżesz, potem także Moritz, ukończywszy z odznaczeniem gimnazjum w Rzeszowie w 1887 r. – wyjechał do Wiednia. Tam w czasie studiów prawniczych

„PAUza Akademicka” 520 jest ostatnim numerem przed wakacjami 2020. Następnym numer „PAUzy Akademickiej” ukaże się we wrześniu 2020. Życzymy Czytelnikom miłego i dobrego lata.

Redakcja

► swoje zainteresowanie naukami prawnymi pogłębiał pracując na seminariach wiedeńskich luminarzy prawa cywilnego i handlowego. Po studiach, ok. 1892 r. przyjechał do Galicji, do stolicy kraju koronnego – Lwowa, gdzie rozpoczął siedmioletnie przygotowanie do zawodu adwokata. W marcu 1895 r. poślubił Sarę Weintraubównę, z którą miał córkę Marię Annę (1896–1942) oraz syna Joachima Hermana (1897–1971), adwokata.

Od 1900 r. Maurycy Allerhand prowadził we Lwowie kancelarię adwokacką o profilu cywilnym i gospodarczym. Z czasem stał się jednym z najważniejszych adwokatów lwowskich, chętnie dzielącym się swoją wiedzą podczas odczytów dla aplikantów adwokackich i w ramach sesji organizowanych przez Związek Adwokatów Polskich.

Owoce swoich zainteresowań naukowych zaczął publikować w 1896 r. Początkowo były to pisane w języku niemieckim teksty dotyczące praktyki prawniczej, które zamieszczał w czasopiśmie wiedeńskich. Ale już 1898 r. w czasopiśmie „Lud” zaczęły pojawiać się jego krótkie rozprawki z zakresu etnologii prawniczej, a także wspomniana rozprawa *Prawo imion* (1899). W tym samym czasie, najpierw w „Reformie Sądowej”, a potem na stałe w „Przeglądzie Prawa i Administracji” – zaczął zamieszczać problemowe opracowania z zakresu procedury cywilnej, później także prawa cywilnego, prawa handlowego i prawa kolizyjnego. Z wczesnego okresu twórczości najważniejszą rozprawą pozostaje *Podstęp w procesie* (1907–1909), która stała się też główną podstawą habilitacji (uzyskania prawa wykładania) z zakresu procesu cywilnego austriackiego, którą uzyskał na Wydziale Prawa Uniwersytetu Lwowskiego w 1910 r. Od tego czasu do 1939 r. nieprzerwanie był wykładowcą prawa cywilnego procesowego, prawa egzekucyjnego, prawa upadłościowego, prawa handlowego i kilku innych przedmiotów. Na prowadzone przez niego zajęcia uczęszczali m.in. późniejsi uczeni: Karol Koranyi, Ludwik Dworzak, Kazimierz Przybyłowski, Seweryn Rosmarin, Stefan Rozmarin.

W okresie międzywojennym prof. Maurycy Allerhand opublikował kilkadziesiąt prac naukowych, w tym komentarze, obszerne studia naukowe, artykuły, glosy, odpowiedzi na pytania prawne, sprawozdania, wspomnienia pośmiertne oraz ogromną liczbę recenzji z różnych dziedzin prawa. Należał do wielu polskich towarzystw naukowych: Towarzystwa Naukowego we Lwowie, Polskiego Towarzystwa Prawniczego we Lwowie i Związku Adwokatów Polskich. Wchodził w skład komitetów redakcyjnych: „Głosu Prawa” (1924–1939), „Przeglądu Prawa Handlowego” (1925–1939), „Polskiego Procesu Cywilnego” (1933–1939) oraz „Orzecznictwa Sądów Polskich”. Przez wiele lat był bliskim współpracownikiem „Przeglądu Prawa i Administracji”. Dodać należy, że był również członkiem Trybunału Stanu.

Wyjątkowe miejsce w działalności prof. Allerhanda zajmowało zaangażowanie w prace utworzonej w 1919 r. Komisji Kodyfikacyjnej RP. Już wcześniej uczestniczył w pracach komisji prawa handlowego i procedury cywilnej przy Ministrze Sprawiedliwości. W dedykowanym prof. Allerhandowi zeszycie „Głosu Prawa” (1938, nr 6–8) Jan Jakub Litauer napisał: „Nie wszyscy znakomici prawnicy mają wene kodyfikatorską; o Allerhandzie trzeba powiedzieć, że należy do tych niezbyt licznych, którzy mają wybitne w tym kierunku uzdolnienie i bez których przeto kodyfikację prawa polskiego trudno byłoby sobie wyobrazić”.

Maurycy Allerhand pracował w sekcjach cywilistycznych i komercjalistycznych Komisji Kodyfikacyjnej, opracowywał projekty przepisów kolizyjnych, brał też udział w pracach nad prawem o ustroju sądownictwa, prawem o adwokaturze i prawem o notariacie, a wspólnie z kołem lwowskim Komisji Kodyfikacyjnej prof. Ernesta Tilla współtworzył projekt kodeksu zobowiązań. Nadto uczestniczył w obradach nad prawem wekslowym i czekowym, prawem patentowym, prawem autorskim, pracował nad ustawą o zwalczaniu nieuczciwej konkurencji, ustawą o spółkach akcyjnych oraz o spółkach z o.o., a także nad kodeksem handlowym.

Do dzisiaj znane i przywoływane w literaturze i orzecznictwie sądowym są znakomite komentarze Allerhanda do *Kodeksu handlowego* z 1934 r. (wielokrotnie wznawiany w latach 1989–2000),

Kodeksu postępowania cywilnego czy prawa upadłościowego i postępowania układowego. W ostatnich latach przed wojną Allerhand pracował nad projektem kodeksu postępowania niespornego. Litauer pisał, że „jest to bez wątpienia najtrudniejszy dział kodyfikacji prawa procesowego, zajął się bowiem o wszystkie działy prawa materialnego. I tu właśnie rozmach kodyfikatorski Allerhanda najsilniej się ujawnia; jego pomysły unifikacyjne wybiegają daleko poza granice legislacji procesowej...”. Tego dzieła niestety już nie ukończył. Projekt części ogólnej został przyjęty przez Komisję, ale prace nad częścią szczegółową przerwała wojna. Przygotowane referaty i propozycje kodyfikacyjne Maurycy Allerhand przechowywał przez czas sowieckiej okupacji Lwowa. Gdy zmienił się okupant, w swoich dziennikach zanotował: „Dnia 7 sierpnia 1941 wstałem z łóżka i starałem się spakować moje manuskrypty i moje zapiski oraz wyjątki z dzieł naukowych. Tylko częściowo mogłem je zabrać i umieścić u sąsiadów; większą część manuskryptów i zapisków zostawiłem na miejscu. Pozostały też referaty, jakie przygotowałem dla Komisji Kodyfikacyjnej, której byłem członkiem”.

Wybuch II wojny światowej był szokiem dla rodziny Allerhandów. Syn Profesora, Joachim, został zmobilizowany i cudem uniknął losu polskich oficerów zamordowanych przez Sowietów w ramach zbrodni katyńskiej. Na początku stycznia 1940 r., po sowietyzacji uniwersytetu, Maurycy Allerhand został zwolniony przez sowieckiego rektora wraz z większością polskich uczonych z Wydziału Prawa. Wkrótce przywrócono go do pracy w Katedrze Prawa Cywilnego, kierowanej przez prof. Kazimierza Przybyłowskiego. W ankietach personalnych wypełnianych w latach 1939–1941, w stosownych rubrykach wpisywał zawsze: narodowość „polska”, wyznanie „mojżeszowe”, tak jak czynił to przed wojną. W katedrze oprócz Allerhanda i Przybyłowskiego pracował też ostatni polski rektor uniwersytetu, wybitny cywilista Roman Longchamps de Brier, zamordowany wraz z trzema synami wkrótce po wkroczeniu do Lwowa Niemców, 4 lipca 1941 r.

Gdy Lwów zajęli Niemcy, prof. Allerhand zaczął pisać ołówkiem, na odwrotnych stronach kart kancelaryjnych, dziennik. Ocalał i wydany został przez wnuka, Leszka, który uzupełnił notatki dziadka własnymi wspomnieniami. Tak powstały *Zapiski z tamtego świata* (wyd. 2, 2011) – wyjątkowe świadectwo tamtych dni.

Profesor Allerhand był pierwszym Żydem we Lwowie, którego już 7 sierpnia 1941 r. pozbawiono mieszkania. Od 23 listopada 1941 r. pozostawał w nędznych warunkach w getcie przy ul. Zamarstynowskiej 58. Polscy przyjaciele podejmowali próby wydobycia go na stronę aryjską poprzez zorganizowanie nowej tożsamości, o czym wspomina w swoich dziennikach. Odmówił. Został zamordowany najprawdopodobniej w czasie tzw. wielkiej akcji sierpniowej ok. 10 sierpnia 1942 r. na terenie Obozu Janowskiego. Żona Profesora i wnuk Józef zginęli zapewne w Bełżcu, a córka Maria Feller z wnuczką Alicją w Treblince.

Zagładę przeżył syn Joachim z żoną Zinajdą oraz ich synem, wnukiem uczonego, Leszkiem (1931–2018), doktorem medycyny, uczniem prof. Juliana Aleksandrowicza.

Tuż przed wojną o Maurycym Allerhandzie napisano, że spod jego dłoni „nie mógł wybujać chwast złego prawa – a wykwiwały z głębin Jego duszy pęki najzaciejszych, twórczych myśli prawnych”. Wskazywano, że w osobie Maurycyego Allerhanda cenili wszyscy nie tylko znakomitego prawnika, nie tylko jego wysokie walory intelektualne, ale „powszechnie znaną dobroć serca, zachoć duszy, pracowitość niestrudzoną, uczynność zawsze czujną i gotową”.

Maurycy Allerhand przez całe życie łączył w sobie bycie Żydem i Polakiem. Uważał się za Polaka, Polsce służył, podobnie jak jego syn, który walczył w wojnie polsko-bolszewickiej. Nigdy też nie odszedł od wiary i tradycji przodków. Jak wspominał po latach wnuk – w domu Allerhandów jednoczono tradycję żydowską z polską – katolicką. W domu obchodzono zarówno religijne święta żydowskie, jak i chrześcijańskie. Nie przeszkadzało to Maurycemu Allerhandowi pozostawać jednym z największych autorytetów wśród lwowskich Żydów.

ADAM REDZIK

Uniwersytet Warszawski



Odpowiedzialność za słowo; ważne kryterium wyborcze

Oceniając kandydatów w demokratycznych wyborach światli obywatele biorą pod uwagę wiele kryteriów. Jedno z nich jest szczególnie ważne dla środowiska naukowego, jest to **odpowiedzialność za słowo**. Wartość ta stanowi bowiem centralny imperatyw naszej roli zawodowej i dlatego jesteśmy na jej naruszenia szczególnie wyczuleni. Ale można jej wymagać także od innych osób zaufania publicznego, uznanych autorytetów, w tym przede wszystkim od polityków.

Czym jest odpowiedzialność w ogóle? To **rozumne i moralne działanie wobec innych ludzi**. Lub dokładniej: uzasadnione prze-widywanie skutków swojego działania dla innych i podejmowanie działania tylko wtedy gdy skutki te są dla innych dobre (a co najmniej nie krzywdzące). Mówiąc metaforycznie odpowiedzialność stanowi pomost między dwoma kluczowymi dla życia społecznego wartościami: między **prawdą i dobrem**. Działania nieodpowiedzialne natomiast napotkamy wtedy gdy nie są oparte na sprawdzonej wiedzy, manifestując ignorancję lub lekceważenie skutków, do których prowadzą, albo wtedy gdy ich skutki przynoszą szkody innym, są amoralne w sensie czynienia zła, albo co najgorsze i jedno i drugie, gdy nieodpowiedzialność oznacza oparcie się na fałszywych danych czy teoriach i wywołanie szkód dla innych ludzi. Nieodpowiedzialność szczególnie obciąża **polityków**, bowiem mają w rękach narzędzia do kształtowania losów życiowych wielkich zbiorowości.

„Na początku było słowo (...) wszystko przez nie się stało” – powiada Ewangelia. Słowo to nie tylko Boski, ale istotny ludzki instrument działania. Odpowiedzialność za słowo to zatem po pierwsze świadomość skutków jakie słowa mogą przynieść innym, a po drugie dbałość o to, aby nie przyniosły im krzywdy. Bo słowa nie tylko niosą wiedzę, informacje, radę, wsparcie, pociechę, pokrzepienie, radość – ale mogą oszukać, zmylić, pognebić, zasmucić, upokorzyć, zranić, sprawić ból. Szczególną i najbardziej wymagającą formą odpowiedzialności za słowo jest **odpowiedzialność za „dane słowo”**: obietnice przedwyborcze, przysięgi, zaklęcia małżeńskie („że nigdy Cię nie opuszczę”), śluby zakonne itp. Ich złamanie rodzi odczucia najbardziej dotkliwe.

W przestrzeni publicznej zanurzeni jesteśmy dzisiaj w **morzu słów nieodpowiedzialnych**. Za fałszywymi poglądami stoją zazwyczaj jakieś partykularne interesy; karierowe, środowiskowe, partyjne, wyborcze. Wypowiadaniu opinii pośpiesznych, pochopnych, skrótowych i nie sprawdzonych sprzyja dodatkowo kusząca technologia i logika nowych mediów: twittera, facebooka, instagramu itp. Formułowanie poglądów w różnych sprawach w warunkach anonimowości i bezkarności jest arbitralne i pozbawione kontroli. Stąd plaga „fake newsów”, panowanie „postprawdy” i hejtu, reklam bezwartościowych lekarstw itp. Osobny problem to manipulacyjne korzystanie z internetu dla kampanii politycznych, propagandowych czy reklamowych, które celowo, w masowej skali powielają fałszywe treści. Wszystko to utrudnia spełnienie pierwszego kryterium odpowiedzialności – racjonalności, rozumności postępowania. W tweetach prezydenta Trumpa, które czyta cały świat analitycy odkryli już ponad tysiąc oczywistych kłamstw. Jego poplecznicy mówią eufemistycznie o „mijaniu się z prawdą”, albo o „faktach alternatywnych”, a jego przeciwnicy o „epistemologicznej anarchii” i „nawyku łgarstwa” (New York Times, 14.06.2020). Po bardzo podobne przykłady nie trzeba sięgać aż za ocean, chociaż nasz najbliższy sojusznik stanowi zapewne wzór nie-dościgniony.

Świadome i cyniczne kłamstwa osób wpływowych i widocznych, przez niektórych uznanych wręcz za wyrocznie, przynoszą dla odbiorców podwójne straty. Po pierwsze **wprowadzają ich w błąd**, a na takich fałszywych informacjach ludzie oprzeć mogą dalsze szkodliwe dla siebie działania. Na przykład gdy czołowy polityk wbrew twardym danym i opiniom ekspertów ogłasza koniec pandemii, godzi się z zagrożeniem zdrowia obywateli, którzy łatwowiernie porzucają środki ostrożności, zapominają o maseczkach i dystansie społecznym, organizują wesela i tłoczą się na plażach. Na dramatyczne konsekwencje nie przyjdzie długo czekać. A rząd miał alternatywy. Mógł restrykcje przedłużyć. Mógł dokonać estymacji ryzyka korzystając z ugruntowanej wiedzy specjalistycznej. Mógł wykazać się troską o zdrowie i życie obywateli, a nie kierować wąskimi interesami ekonomicznymi i krótkowzroczną kalkulacją wyborczą. Wszystkich tych warunków nie spełnił i tym samym wykazał się pełną nieodpowiedzialnością. A inny przykład gdy kandydat w wyborach składa malownicze obietnice bez pokrycia, a obywatel podjąć może fatalną decyzję wyborczą, której po niewczasie będzie mocno żałować.

Drugi efekt nieodpowiedzialności za słowo, to **traumatyczne doznanie psychiczne**, poczucie zawodu, gdy uznawany przez nas autorytet polityczny okazuje się fałszerzem i kłamcą. Przykry **dysonans moralny** to dodatkowy, moralnie naganny skutek nieodpowiedzialności za słowo, niezależnie od przekazania fałszywych informacji i wywołaniu **dysonansu poznawczego**.

Kryterium drugie, moralne jest naruszone przez formułowanie poglądów krzywdzących dla innych w postaci oskarżeń, oszczerstw, pomówień, zniewag, za którymi stoją nienawistne emocje, stereotypy, przesady. Ich źródło to często albo strategia „koźła ofiarnego”, obarczenia winą za własne błędy wymyślanego wroga, albo odsunięcie uwagi opinii publicznej od własnych niepowodzeń, albo dążenie do obudzenia wśród wyborców najbardziej czarnych zakątków ludzkiej duszy. Pół biedy, gdy dotyczy to pojedynczego człowieka, który ma szansę bronić swojej godności w sądzie, ale słowa takie stają się szczególnie groźne gdy ulegają uogólnieniu i obciążają całe zbiorowości: Żydów, „komuchów”, czarnych, uchodźców, środowisko LGBT. Niedawno byliśmy świadkami wypowiedzi niektórych polityków na temat „ideologii LGBT”. Ten frazes zastąpił dawniejszą „ideologie Gender”. To był niebywały popis ignorancji na temat samego zjawiska i zupełnego braku wrażliwości na odczucia pewnej części obywateli. Po raz pierwszy od dawna doszło do publicznego odmówienia grupie ludzi człowieczeństwa, niezbywalnej ludzkiej godności, zakwestionowano prawa człowieka, jedną z wielkich zdobyczy naszej cywilizacji. Trudno o bardziej modelowy przypadek nieodpowiedzialności za słowo. Ale przecież to nie wyjątek. Ile razy już słyszeliśmy o pierwszym i drugim sorcie, o prawdziwych i nieprawdziwych Polakach, o patriotach i postkomunistach, naszych i obcych.

Odpowiedzialność za słowo to pewien **ideał poznawczy i moralny zarazem**. Ideały są po to, aby przyrównywać do nich realne zdarzenia, w tym przypadku wypowiedzi i wyciągać wnioski – oceniać stopień odbiegania od ideału. Warto aby przed podjęciem decyzji wyborczej szukać tych kandydatów, którym najbliższe do odpowiedzialności za słowo. Bo to kwalifikacja intelektualna i moralna bardzo istotna wśród innych, które trzeba brać pod uwagę. A rozważa i uwzględnienie takich kwalifikacji to kolejny ideał i kolejna wartość, której przestrzegania wymagać można od każdego świadomego obywatela.

PIOTR SZTOMPKA



Pandemiczne zmiany

Kilka ostatnich miesięcy przyniosło wymuszone acz rewolucyjne zmiany w szkolnictwie i nauce poprzez zamknięcie szkół czy uniwersytetów. Przystawienie nauczania na tryb zdalny otworzyło rezerwy w minimalnym dotychczasowym wykorzystaniu internetu, stawiając przed nauczycielami z jednej, a uczniami czy studentami z drugiej strony, nowe wyzwania. Obok oczywistych porażek (jak przysłówkowe lekcje w publicznej telewizji) pojawiły się nowe ścieżki uczenia i nowe możliwości. Obie strony odkryły dobrodziejstwa wyszukiwanych w świecie kursów, jak i ciężar, i trudność dostosowania się do nowych wymagań. W fizyce od lat można słuchać niektórych wykładów z pierwszorzędnymi uczelniami świata, ale teraz to zjawisko może stać się popularne. Jak na tym tle wypadają „nasi” wykładowcy? Niestety, w ramach zdalnego nauczania byli tacy, którzy uznali, że przekazanie slajdów w pdf zastępuje wykład, ale myślę, że większość pozytywnie się zaangażowała, przekazując specjalnie przygotowane nagrania czy wykładając na żywo on-line. A może to jest nowa droga zamiast tradycyjnego wykładu – wcześniejsze nagrania, wsparte (już po pandemii) problemową dyskusją? Oczywiście nic nie zastąpi bezpośredniego kontaktu w czasie ćwiczeń, laboratoriów i tutoriali, ale może coś warto z tego okresu zachować na przyszłość?

Może warto o tym podyskutować?

Jakościowa zmiana nastąpiła, przynajmniej w mojej dziedzinie, w seminariach naukowych. Zostały zorganizowane europejskie czy wręcz światowe seminaria z fizyki kwantowej, atomowej czy informatyki kwantowej. Jest ich tyle, że trzeba dobrze wybierać, a jest w czym, bo swoje badania referują najlepsi. Dla chętnych: seminarium atomowe odbywa się w piątki o 21.00, by nawet ci biedni z Pacific Time Zone mogli na nie wstać. Też u nas na Seminarium Optycznym

na UW czy seminarium Zakładu Optyki Atomowej w UJ pojawili się znakomici wykładowcy ze świata – łatwiej jednak wygłosić referat z domu czy z gabinetu w pracy, ale bez przyjeżdżania. Co więcej, my gościmy w Warszawie czy Gdańsku, nasi koledzy stamtąd regularnie uczęszczają na nasze seminaria – myślimy, jak to zachować w czasie po pandemii.

We współpracy i bezpośrednich kontaktach nastąpiła chyba największa odmiana. Od ponad 30 lat często polegała ona (obok miłych podróży) na intensywnych kontaktach e-mailowych, królowała poczta internetowa. Obecnie też jest ważna, ale współpraca przeniosła się w domenę transmisji poprzez komunikatory: Skype, Zoom, MS Teams czy inne. Łatwiej porozmawiać przez pół godziny w grupie kilku osób. Oczywiście to nie to samo, co grupowe spotkanie bezpośrednio z tablicą, ale prawie, prawie to samo. I jest to nowe, świeże, więc wciąga. Pewnie znacznie trudniej jest w dziedzinach eksperymentalnych, ale one też ewoluują w stronę zdalnego zarządzania. Powstają jak grzyby na deszczu konferencje on-line. To miała być namiastka rzeczywistych spotkań, ale kto wie? W dobie dbałości o klimat wprost będzie wypadało ograniczyć samolotową „turystykę naukową”. Czy nastąpi dalsza przemiana? W wielu zawodach już przed pandemią ludzie pracowali zdalnie, znam informatyków zatrudnionych w Australii czy Kalifornii, a pracujących z domu na wsi, położonej kilkadziesiąt kilometrów od dużych miast. Może podobnie będzie w nauce? Może słynne wyjazdy na stypendia podoktorskie ulegną zmianie – przecież można być zdalnie postdokiem w Barcelonie czy Los Angeles (dostosowując zegarek)?

Życie po pandemii będzie zapewne inne niż przed nią, ale na pewno ciekawe.

JAKUB ZAKRZEWSKI
Uniwersytet Jagielloński

E-universytet czy sztuczny miód?

ROMAN KUŹNIAR

Epidemia koronawirusa zmusiła również uniwersytet do pracy zdalnej. Dobrze, że technologia to umożliwiła. Wyobraźmy sobie, że jej nie mamy. Całe nauczanie, od podstawowego do uniwersyteckiego – zostałoby zawieszona na co najmniej pół roku. Trudno to sobie wyobrazić. Nawet w czasie wojny były tajne komplety, a w czasach panowania Covidu-19 nawet to, a zwłaszcza to, nie byłoby możliwe. Kolejnym pożytkiem z IT w czasach zarazy było i to, że wszystkie „kurie” uniwersytetu – pracownicy naukowo-dydaktyczni, studenci, administracja – musiały się nagle podciągnąć w korzystaniu z nowoczesnej technologii służącej pracy zdalnej. Lęk przed nią, tu i ówdzie jeszcze do niedawna obecny, musiał ustąpić. Wszyscy musieli się zaprzyjaźnić z różnymi jej wersjami.

Ale oto w tej przymusowej sytuacji pojawiły się głosy, że tak naprawdę nauczanie zdalne to jest przyszłość uniwersytetu. Dydaktyka online, słyszymy lub czytamy, to nowoczesny, przyszłościowy i skuteczny substytut tradycyjnego nauczania. „Tradycyjnego”, czytaj: przeszłego, anachronicznego, takiego, które musi trafić do lamusa. Przejściową konieczność zaczęto podnosić do rangi cnoty. Kto się nie przestawi – wypada z gry. I w tym miejscu budzi się mój sprzeciw, nawet jeśli otrzymam etykietę dinozaura czy ostatniego Mohikanina. Więc przypomnijmy, że mówimy o uniwersytecie, instytucji, która liczy sobie około 900 lat (w Europie). Do tej pory, pomimo wielu rewolucyjnych wynalazków i całościowego postępu technicznego, nikomu nie przyszło do głowy, aby rezygnować z bezpośredniego kontaktu wykładowców ze studentami, tradycyjnych seminariów, bezpośredniej współpracy i debaty pomiędzy samymi uczonymi. Ale to nie wszystko. Jest jeszcze relacja pomiędzy uniwersytetem a jego otoczeniem: miastem, środowiskiem intelektualnym, światem kultury i życia publicznego. Tego wszystkiego się nie da trwale zastąpić online protezą. Ona nigdy nie zastąpi właściwości oryginału.

Dlaczego? Przywołajmy słowa kogoś, kogo setną rocznicę urodzin obchodziliśmy niedawno w Polsce, także na łamach „PAUzy Akademickiej” (nr 514/20). W czasie swoich pobytów w Polsce Jan Paweł II spotykał się z przedstawicielami środowisk akademickich. I mówił

o uniwersytecie, że jest „arcydziełem ludzkiej kultury”, jest miejscem, które powinno służyć wydobywaniu człowieczeństwa, czyli „duchowego potencjału człowieka, który jest w umyśle i sercu człowieka” (Częstochowa 1979). Uniwersytet, Alma Mater, jest miejscem troski duchowej natury: „rodzenie dusz do wiedzy, do mądrości, kształtowanie umysłów i serc. Jest to wkład w niczym nieporównywalny” (Kraków 1997). Myślę, że niezależnie od światopoglądu, łatwo zgodzimy się z tymi słowami. Zdalny uniwersytet czymś takim nigdy się nie stanie. Nie wywoła emocji, które towarzyszą inauguracji roku akademickiego, dzięki czemu akademicka społeczność staje się wspólnotą świadomą swej duchowej jedności i odpowiedzialności. Odpowiedzialności za poziom uniwersytetu i za jego miejsce w kulturze narodowej. Nie tylko o samo kształcenie i badania tu chodzi. Choć one są podstawowe, dalece nie wyczerpują w pełni jego misji, którą jest także troska o narodowe imponderabilia. Zdalnie nie powstanie troska, ani nie pojawią się imponderabilia. Klimat sprzyjający tworzeniu jednego i drugiego może pojawić się jedynie w murach uniwersytetu, w którym tętni życie akademickie, z całą jego niepowtarzalną witalnością i urodą, która następnie zeń emanuje na zewnątrz jego murów.

Uświadamiamy sobie to może nawet bardziej teraz, gdy uniwersytet opustoszał, gdy nie ma w nim życia. Nie ma tej synergii, która rodzi się wtedy, gdy poszczególne składniki uniwersytetu mogą na siebie bezpośrednio oddziaływać. Zdalna technologia wprawdzie łączy, ale czyni to w sposób sterylny, punktowy, „odtąd dotąd” i tak naprawdę kawałkuje uniwersytet na sztucznie, lecz sztywnie oddzielone od siebie segmenty, na biegnące równolegle strumienie, które nie mają się spotkać i nie stworzą nigdy wielkiej rzeki z całym jej przyrodniczym bogactwem. Nie da się w ten sposób stworzyć swego rodzaju majestatu uniwersytetu, jego powagi i etosu, ani tym bardziej tego, co także jest jego nieodłączną częścią, czyli radości z faktu pracy i studiów w tym szczególnym dla kultury i wiedzy naszej czy też ludzkiej cywilizacji miejscu. Radości, którą odślania akademicka oda do radości, czyli *Gaudeamus igitur*, którą z takim wzruszeniem śpiewamy na początek roku akademickiego. Tylko na uniwersytecie

► integralnym dojrzewamy do rozumienia żywej i bogatej całości, całości świata, świata, do którego przynależymy, za który ponosimy jakąś odpowiedzialność. Pisał o tym poruszająco Adam Zagajewski w zbiorze esejów *W cudzym pięknie*. Tylko idący w świat absolwenci takiego uniwersytetu mogą ten świat czynić lepszym, choć, istotnie, nie zawsze tak czynią.

Entuzjaści zdalnej przyszłości uniwersytetu argumentują, że na jego rzecz przemawia kryterium efektywności, czyli głównie kosztów. To prawda, ona stała się współcześnie w pewnych środowiskach obsesją i wyrządziła już niejedną szkodę, także w procesie globalizacji, co widzimy dzisiaj w związku z pandemią koronawirusa. Z tą efektywnością jest trochę jak z „efektami kształcenia”, iluzją, którą tworzymy dla wypełnienia biurokratycznego kwestionariusza. Była o tym niedawno mowa na łamach PAUzy. Efekty prawdziwego uniwersytetu są niepoliczalne i nieprzeliczone. Niech nas pragmatyczni technokraci nie straszą, że jeśli uniwersytet nie stanie się zdalny, to jego rolę przejmą wyspecjalizowane firmy edukacyjne, a dyplomy uniwersyteckie będą się nadawać na podkładki pod doniczki. Takie firmy mogą w ramach kilkumiesięcznych kursów

dostarczyć jedynie wyspecjalizowanej wiedzy ludziom już wykształconym. Takie kursy były od zawsze i one uniwersytetu nie zastąpiły. A jeśli tak miałyby się stać, stracimy wszyscy – całe społeczeństwa i ich kultura.

Gdyby zdalny uniwersytet miał się utrwalić i zastąpić uniwersytet prawdziwy, to byłby to „sztuczny miód” z piosenki Agnieszki Osieckiej. Nieco tylko trawestując jej słowa, to byłby „ersatz, cholera, nie uniwersytet”. W oryginale zamiast uniwersytetu jest „życie”. Za tem władze szkolnictwa wyższego i władze uniwersytetów powinny zrobić wszystko, aby od początku roku akademickiego do polskich uniwersytetów zaczęło wracać życie. Oczywiście, nie ignoruję odpowiedzialności, spoczywającej na władzach uniwersytetu za bezpieczeństwo zdrowotne tych, którzy się znajdują na jego terenie. Dlatego to będzie wymagać wysiłku, kreatywności, być może pewnych nakładów związanych z zapewnieniem tego bezpieczeństwa studentom i pracownikom. Ale stawką jest sam uniwersytet, więc nie wolno go łatwo oddawać zdalnej technologii, co mogłoby być może nawet wygodne dla samych władz. Ale to technologia ma służyć uniwersytetowi, nie odwrotnie.

ROMAN KUŹNIAR

Uniwersytet Warszawski

Centrum Cyklotronowe Bronowice – od fizyki do medycyny

PAWEŁ OLKO, MAREK JEŹABEK, RENATA KOPEĆ, ADAM MAJ

15 października 2015 roku uroczyście otwarto Centrum Cyklotronowe Bronowice w Instytucie Fizyki Jądrowej Polskiej Akademii Nauk (CCB IFJ PAN) w Krakowie. W lutym 2016 roku napromieniono w ośrodku pierwszego pacjenta z nowotworem oka. W listopadzie 2016 roku ruszyło napromienianie pacjentów Centrum Onkologii w Krakowie na stanowiskach gantry. Od tego czasu CCB IFJ PAN, jako jedyny w ośrodek Polsce, łączy codzienne napromieniania pacjentów na ultranowoczesnych stanowiskach do radioterapii protonowej z prowadzeniem badań z zakresu fizyki jądrowej, dozymetrii i radiobiologii.

Zaletą radioterapii protonowej jest zdolność precyzyjnego podania dawki na leczonej objętości przy minimalizacji dawki na zdrowe tkanki. Jest to możliwe dzięki wykorzystaniu zjawiska tzw. piku Bragga, czyli przekazu największej energii wiązki pod koniec jej zasięgu. Właściwy dobór energii protonów zapewnia więc podanie najmniejszej dawki wejściowej i chroni położone za guzem zdrowe narządy.

Budowa

Budowa CCB IFJ PAN sfinansowana została z Programu Operacyjnego Innowacyjna Gospodarka. Za kwotę 265 mln zł zbudowano kompletnie wyposażony ośrodek z halą eksperymentalną, dwoma stanowiskami terapeutycznymi typu gantry oraz kompletną, nowoczesną infrastrukturą medyczną. Umożliwia ona prowadzenie napromieniania w każdej lokalizacji guza, również u dzieci w znieczuleniu ogólnym. Ogromnym sukcesem projektu było zaprojektowanie i zbudowanie przez zespół fizyków, inżynierów i techników z IFJ PAN stanowiska do radioterapii protonowej oka oraz uzyskanie jego europejskiej certyfikacji medycznej CE Medical. Również skomplikowana integracja informatyczna ośrodka została przeprowadzona przez naszych specjalistów. Część naukowa z halą eksperymentalną i laboratoriami do przygotowania eksperymentów została wydzielona w odrębnej części budynku i nie koliduje z ruchem pacjentów. Otwarcie CCB IFJ PAN nastąpiło po 4 latach budowy, zgodnie z programem i bez opóźnień.

Projekt został podjęty w okresie przełomu w rozwoju radioterapii protonowej. Postawiliśmy na raczkującą wtedy technologię wiązki skanującej. Przełom polegał na wyeliminowaniu z radioterapii mechanicznych elementów formujących wiązkę protonów, przygotowywanych w warsztatach mechanicznych indywidualnie dla każdego pacjenta. Zastosowanie w przekroju kilkumilimetrowej, odchylanej magnetycznie wiązki protonowej – o energii dobieranej do głębokości guza, umożliwia precyzyjne objęcie dawką leczonego ob-

szaru. Sklejenie kilku pól z różnych kierunków daje możliwość formowania skomplikowanych kształtów obszarów leczonych, nieosiągalnych innymi technikami. Dzięki temu IFJ PAN zostało jednym z pierwszych w Europie i jednym z nielicznych ośrodków w świecie prowadzących rutynowo najbardziej zaawansowany rodzaj napromieniania – radioterapię protonową o modulowanej intensywności (Intensity Modulated Proton Therapy, IMPT).



Rys. 1. Cyklotron izochroniczny Proteus C-235. Dostarcza wiązkę protonów o energii maksymalnej 230 MeV do hali eksperymentów fizycznych, hali radioterapii oka oraz do dwóch stanowisk terapeutycznych gantry.

Technika

Ośrodek CCB-IFJ PAN wyposażony jest w cyklotron Proteus C-235 i dwa stanowiska terapeutyczne typu gantry, belgijskiej firmy Ion Beam Applications, światowego lidera w budowie instalacji protonowych (Rys.1). Cyklotron produkuje wiązkę o maksymalnej energii wiązki 226 MeV i prądzie protonów od 0,5 do 500 nA. Wiązka wyprowadzona z cyklotronu przechodzi przez berylowo-grafitowy degradator energii, umożliwiający szybkie zmniejszenie energii w zakresie od energii maksymalnej do 70 MeV. Wiązka przechodzi następnie przez selektor energii, zmniejszający jej rozmycie energetyczne i jonowodem kierowana jest na odległość kilkudziesięciu metrów do stanowisk w hali eksperymentalnej, w hali terapii oka oraz do dwóch stanowisk gantry. Stanowiska gantry zapewniają możliwość napromienienia pacjenta z dowolnego kierunku w zakresie kątów 0–360°. W tym celu zestaw magnesów prowadzących ►

► wiązkę o wadze 20 ton jest zamontowany na obracanej, stutonnej kratownicy o średnicy 11 metrów. Magnesy odchylające wyznaczają kierunek padania wiązki, ale głębokość jej penetracji zależy od doboru jej aktualnej energii. Bezpieczeństwo zapewniają wielostopniowe systemy kontroli położenia i intensywności wiązki.

Ośrodek jest wyposażony w halę eksperymentalną o powierzchni ok. 100 m², wykorzystywaną przez fizyków jądrowych, oraz pokoje przygotowania eksperymentów. Radiobiolodzy mogą korzystać z dwóch w pełni wyposażonych laboratoriów biologicznych do przygotowania i wstępnej obróbki napromienionego materiału.

Napromienianie

Podstawą bezpiecznego napromieniania pacjenta jest dozymetria wiązki. Tradycje badawcze w IFJ PAN i prowadzona od 2011 roku radioterapia protonowa oka na cyklotronie AIC-144 pozwoliły na wypracowanie wysokich standardów w tej dziedzinie. Pomiar porównawcze prowadzone corocznie z Laboratorium Dozymetrycznych Wzorców Wtórnych w Narodowym Instytucie Onkologii (NIO) w Warszawie dają zgodności poniżej 0,5%. W 2016 IFJ PAN, jako ośrodek wiodący w tej dziedzinie, zorganizował pomiary porównawcze wysyłkowych dozymetrów wiązki protonowej dla 14 ośrodków terapii protonowej w Europie i USA. Zespół IFJ PAN koordynuje też pomiary dozymetryczne promieniowania rozproszonego w terapii protonowej w ramach prac Europejskiej Grupy Dozymetrycznej EURADOS. Pomiary te wykazały, że użytkowane w IFJ PAN stanowiska gantry zapewniają najlepszą ochronę pacjenta ze względu na niepożądane dawki od promieniowania rozproszonego.

Proces szkolenia kadr i testowania aparatury trwał od 2014 roku, kiedy to nastąpiło testowe uruchomienie pierwszego stanowiska gantry. Ze względu na brak w Europie analogicznych instalacji nowo powstające ośrodki w Trento, Krakowie, Wiener Neustadt, Pradze i w Uppsali zawarły porozumienie IPACS (I-PL-A-CZ-S), by wypracować wspólne procedury i standardy dla nowej radioterapii. Od tego czasu współpracujące zespoły porównują i optymalizują plany leczenia wykonywane na tych samych zanonimizowanych danych pacjentów. Pozwala to na zapewnienie jakości i standaryzację procesu planowania leczenia w Europie. Leczenie każdego pacjenta w CCB IFJ PAN jest planowane wg tych procedur.

Cały cykl codziennego napromieniania pacjentów rozłożony jest na wiele tygodni, a procesu tego nie powinno się przerywać. Dlatego ośrodek działa nieprzerwanie, zaś awarie sprzętu są niezwłocznie usuwane. Dzięki ponad 50-letniemu doświadczeniu IFJ PAN w budowie i użytkowaniu cyklotronów, cały kompleks terapeutyczny jest obsługiwany i prawie w całości serwisowany przez naszych inżynierów i informatyków. Pozwala to zaoszczędzić wiele milionów złotych rocznie. W chwili obecnej tzw. beam-on time, czyli dostępność kliniczna wiązki w ciągu roku, wynosi 95%, co po 5 latach pracy jest doskonałym wynikiem. Warto nadmienić, że zaledwie kilka ośrodków na świecie nie jest obsługiwanych i serwisowanych przez producentów systemów terapii.

Obecnie napromienianych jest około 20 pacjentów dziennie i nie ma kolejek do leczenia. Naszymi głównymi partnerami klinicznymi są Narodowy Instytut Onkologii Oddział w Krakowie (radioterapia na gantry) oraz Szpital Uniwersytecki w Krakowie (radioterapia oka). Pacjenci dowożeni są transportem medycznym lub przyjeżdżają samodzielnie, gdy leczenie prowadzone jest ambulatoryjnie. Pacjentom zawsze towarzyszy lekarz. Przygotowanie do napromieniania jest kilkustopniowe. Przy pierwszej wizycie pacjent ma przygotowane indywidualne elementy do unieruchomienia, co jest podstawą precyzyjnego napromieniania. Wykonywany jest skan tomografii komputerowej, który następnie służy do wykonania planu leczenia. W procesie tym lekarz radioterapeuta wyznacza obszary podlegające napromienianiu oraz zakresy podania dawki, a fizyk medyczny ustala optymalne kierunki, energie i intensywności podanych wiązek. Po zatwierdzeniu planu leczenia fizycy medyczni z CCB IFJ PAN przeprowadzają pomiary dozymetryczne z użyciem fantomów, potwierdzające spełnienie warunków ekspozycji. Po wielostopniowej, codziennej kontroli aparatury i dozymetrii wiązki można przystąpić do napromieniania. Pacjent jest unieruchamiany na stanowisku terapii i pozycjonowany z wykorzystaniem zaawansowanych systemów rentgenowskich i optycznych. Dla osoby dorosłej cała procedura trwa przeciętnie od 20 do 30 minut. W przypadku

napromieniania dzieci stoi do dyspozycji zaawansowana aparatura anestezjologiczna, przystosowana do pracy w warunkach terapii protonowej.

Nauka

Zasadniczą rolę w sformułowaniu celów naukowych projektu CCB odegrało polskie środowisko fizyki jądrowej. Dostępność profesjonalnie zaprojektowanej hali eksperymentalnej i wiązki o regulowanej energii stworzyły doskonałe warunki do realizacji projektów z zakresu fizyki jądrowej, fizyki medycznej, radiobiologii i elektroniki. Już w kwietniu 2011 roku odbyło się pierwsze spotkanie przyszłych użytkowników CCB, a w sierpniu 2013 powołano Międzynarodowy Komitet Doradczy. Komitet spotyka się raz w roku, by ocenić i rekomendować do realizacji zgłaszane eksperymenty. W hali doświadczalnej zainstalowano dwa podstawowe zestawy eksperymentalne: układ do badania wzbudzeń jądrowych i rozszczepienia, składający się z zestawu detekcyjnego PARIS (Photon Array for Radioactive and Stable ion studies), sprzężonego do zestawu detektorów KRATTA (Krakow Triple Telescope Array) oraz układ do badania oddziaływania kilkunukleonowego BINA (Big Instrument for Nuclear polarization Analysis). Stanowiska te zostały udostępnione dla użytkowników z całego świata poprzez tzw. dostęp transgraniczny (TNA – TransNational Access), finansowany w ramach europejskiego projektu ENSAR-2 (European Nuclear Science and Applications Research). Wiazki protonów z cyklotronu Proteus były wykorzystywane do realizacji projektów naukowych z 27 instytucji i 14 krajów. Od 2018 roku, w ramach TNA z projektu INSPIRE (INfrastructure in Proton International Research), finansowany jest dostęp również do urządzeń terapeutycznych CCB dla zespołów fizyków medycznych i radiobiologów całego świata. Prowadzone są również napromieniania odporności elektroniki na promieniowanie dla eksperymentów fizycznych i lotów kosmicznych. Od 2015 roku w ramach działalności Europejskiej Grupy Dozymetrycznej (European Radiation Dosimetry Group, EURADOS), koordynowanej przez IFJ PAN, prowadzone są regularne pomiary w dziedzinie dozymetrii



Rys. 2. Zespół Europejskiej Grupy Dozymetrycznej EURADOS po zakończeniu pomiarów na stanowisku gantry w CCB IFJ PAN. Pomiary wykazały, że niepożądane dawki promieniowania rozproszonego dla pacjentów w CCB są przynajmniej rząd wielkości niższe niż w radioterapii konwencjonalnej.

promieniowania rozproszonego generowanego przez wiązki protonów (Rys. 2). Uczestniczą w niej zespoły z 9 europejskich krajów. Do chwili obecnej obroniono 8 rozpraw doktorskich prowadzonych z wykorzystaniem infrastruktury CCB.

Centrum Cyklotronowe Bronowice IFJ PAN stało się ważnym obiektem na mapie naukowej Polski i Europy. CCB będzie w dalszym ciągu rozwijało regularne napromienianie pacjentów onkologicznych. Planowane poszerzenie wskazań do takich zabiegów, finansowanych z Narodowego Funduszu Zdrowia, umożliwi pełne użycie potencjału terapeutycznego ośrodka, obecnie spożytkowywanego w 50%. Pozostały czas na wiązce protonowej nie jest tracony i jest wykorzystywany do eksperymentów naukowych. Doświadczenia zdobyte w budowie i użytkowaniu CCB-IFJ PAN będą wykorzystane przy budowie kolejnych ośrodków terapii protonowej w Polsce. Ośrodek w Krakowie będzie pełnił dla nich rolę ośrodka referencyjnego z fizyki medycznej i dozymetrii wiązki protonowej.

zaPAU

Dewiza Epikura

Przeglądając niedawno historię filozofii O. Józefa Bocheńskiego*, z niemałym zdziwieniem dowiedziałem się o podstawowej dewizie Epikura: LEPIEJ JEST MNIEJ POTRZEBOWAĆ, NIŻ WIĘCEJ POSIADAĆ. Filozof dochodzi do wniosku, że taka postawa jest najlepszą drogą do szczęśliwego życia.

Moje zdziwienie pochodzi oczywiście stąd, że – ulegając bezkrytycznie powszechnej opinii – uważałem niesłusznie filozofię Epikura za pochwałę hedonizmu oraz nieskrępowanego używania życia tu i teraz.

A tu taka niespodzianka.

Dewiza brzmi atrakcyjnie i znam ludzi, którzy zgodnie z nią postępują. Równocześnie jest jednak dość oczywiste, że gdyby większość z nas zechciała się do niej zastosować, cały system tzw. rozwiniętego świata uległby niechybnie szybkiemu załamaniu. System, w którym żyjemy jest bowiem oparty na ustawicznym podsycaniu maksymalnej konsumpcji, która jest niezbędna, aby zapewnić stały wzrost gospodarczy. Uzyskuje się to przez intensywne namawianie ludzi do konsumowania i gromadzenia dóbr, często takich, które są im zupełnie niepotrzebne, a w każdym razie mogłoby się bez nich znakomicie obejść. Już od dawna wzbudza to oburzenie moralistów, a ostatnio pojawiają się też coraz liczniejsze głosy ekonomistów, wskazujące, że niepowstrzymany wzrost, generowany przez rozbuchaną konsumpcję, musi w końcu doprowadzić do katastrofy.

Powstaje więc pytanie, dlaczego ten system ciągle działa, a idea stale rosnącej konsumpcji jest tak atrakcyjna dla wielu (większości?) ludzi.

Ośmielam się dorzucić głos w tej sprawie, ponieważ wydało mi się, że właśnie coś zrozumiałem.

Zdaję sobie oczywiście sprawę z własnej ignorancji; nie znam odpowiedniej literatury, zapewne bardzo bogatej, więc z góry przepraszam wszystkich, których myśli nieświadomie kopiuję. W końcu to tylko felieton, a nie dysertacja.

Otóż zrozumiałem, że żyjemy w systemie, którego siła i trwałość bazuje na niezwykle umiędzynarodowionym wykorzystaniu ludzkich słabości. Przypomnijmy, że – zgodnie z katechizmem – dwa najważniejsze grzechy to PYCHA i CHCIVOŚĆ. I widać jak na dłoni, że to one właśnie są podstawą, na której opiera się dzisiejszy rozpędzony światowy system ekonomiczny.

Naturalnie pycha i chciwość towarzyszyły ludzkości od zawsze. Były jednak dotąd traktowane jako coś wstydliwego, jako wady. W naszej części świata sprzyjała temu etyka chrześcijańska propagująca wstrzemięźliwość, wzmocniona okolicznością, że dla ogromnej większości ludzi zaspokojenie tych namiętności było całkowicie niedostępne i dlatego nie śmieli nawet o nich marzyć.

Dopiero nasza epoka, odrzucająca idee religijnej ascezy, dzięki niesłychanemu postępowi technologicznemu otworzyła ogromnej rzeszy ludzi realną drogę do zdobywania niebywałej

obfitości dóbr, i to stosunkowo niewielkim wysiłkiem. W rezultacie wypromowała hasło GREED IS GOOD i usankcjonowała wyścig szczurów, żywiący się pychą zwycięzców i pogardą dla przegranych. I tak doszliśmy na granicę zapaści.

Historia pokazuje, że bardzo trudno znaleźć remedium. Próby rozwiązania problemu poprzez regulacje prawne okazują się daremne. Widzieliśmy skutki takich działań choćby w tzw. okresie słusznie minionym: udało się skutecznie ograniczyć podaż, a więc i konsumpcję, ale już nie ludzką chciwość, co w końcu doprowadziło (na szczęście) do upadku systemu. Z kolei straszenie piekłem lub apele do rozsądku, dobrej woli i odpowiedzialności, gdy nie są wsparte brakami w podaży, w końcu również okazują się bezsilne. Siła ludzkich namiętności jest zbyt potężna.

Może się zatem wydawać, że jesteśmy bezradni i pozostaje jedynie czekać na katastrofę, licząc, że nie zniszczy ona naszej cywilizacji do dna i będzie można rozpocząć odbudowę. Niezbyt wesoła perspektywa.

Podczas jednej z kolejnych bezsennych nocy przyszło mi jednak do głowy, że jest jeszcze jedna możliwość uniknięcia zapaści. Skoro nawoływanie do cnoty umiarkowania i do rozsądku nie działa, może należałoby podjąć próbę zwalczania jednego zła innym złem: pokonać pychę oraz chciwość za pomocą ostatniego z grzechów głównych, czyli LENISTWA. To też potężna siła. Co prawda starożytni Ojcowie Kościoła umieścili lenistwo dopiero na ostatnim miejscu, ale w dzisiejszym świecie sytuacja uległa przecież radykalnej zmianie. Lenistwo niezwykle awansowało i jest powszechnie uznawane za najcięższy ze „świeckich” grzechów.

Proponuję więc receptę: trzeba nie tylko skreślić lenistwo z listy grzechów, ale nawet uznać je za cnotę kardynalną. Hasło LAZINESS IS GOOD winno zawisnąć na billboardach, na płotach i we wszystkich przybytkach światowego biznesu.

Oczywiście same hasła nie wystarczą. Konieczna jest zmiana mentalności, która może nie być łatwa, ponieważ lenistwo ma tendencję do generowania nudy. Co prawda poddanie się nudzie ma wiele zalet, jak tłumaczył swoim słuchaczom Josif Brodski, którego niedawno cytowałem („PAUza Akademicka” 517), ale nie sądzę, aby wielu z nas zechciało z ochotą zaakceptować perspektywę spędzenia życia w formie nudnych godzin, dni i lat.

Na szczęście psycholodzy wskazują, że nuda wcale nie musi lenistwu towarzyszyć. DOBROWOLNE okresy lenistwa, „nicnierobienia”, zwykle nie są nudne, natomiast mogą być bardzo pożyteczne, ponieważ niezwykle pobudzają ludzką kreatywność. W rezultacie może się okazać, że nadanie lenistwu waloru cnoty kardynalnej nie tylko uchroni nas przed zagładą, ale wręcz otworzy przed ludzkością nowe horyzonty.

Byłe znowu nie przesadzić.

ANDRZEJ BIAŁAS

* Józef Bocheński, *Zarys historii filozofii*, Philed, Kraków, 1993

Galeria PAUzy



Stefan Kaczmarek urodził się 1969 roku w Częstochowie. W 1989 roku rozpoczął studia na Wydziale Grafiki krakowskiej ASP. Pracę dyplomową zrealizował w pracowni drzeworytu w 1994 r. Od 1996 pracuje w nowo powstałej pracowni serigrafii w swojej macierzystej uczelni. Szlify pedagoga zdobył pod kierunkiem prof. Wojciecha Krzywobłockiego. Prace studentów powstające w pracowni poruszały temat trójwymiarowości, wyjścia grafiki w przestrzeń. Obecnie pracuje na stanowisku adiunkta.

Stefan Kaczmarek w swoich grafikach podejmuje ważne społecznie tematy. Odnosi się do takich wydarzeń jak: ludobójstwo w Afryce, konflikt palestyńsko-izraelski, *zielone ludziki na Ukrainie*, protesty w Hongkongu czy zapomniany przez media problem wolnego Tybetu. Jako humanista czuje obowiązek udzielania pomocy potrzebującym. Najskuteczniej robi to za pomocą sztuki...

Jest laureatem Nagrody Regulaminowej Międzynarodowego Triennale Grafiki w Krakowie 2006; III Nagrody Międzynarodowego Biennale Grafiki Cyfrowej w Gdyni 2008; III Nagrody Sakaide Art Grand Prix 2010

[...] Monumentalne formy, bliskie kadrowanie, pierwszy plan i neutralne tło, tak najkrócej można opisać formalne aspekty serigrafii Stefana Kaczmarka. Uwaga widza zogniskowana zostaje na pojedynczej i jednocześnie wieloelementowej formie. Pierwszy kontakt jest jak cios wymierzony precyzyjnie w mózg. Bo Stefan Kaczmarek nie chce widza ogluszyć, lecz zmusić do myślenia. Unikając sięgania po oczywiste ikony totalitaryzmu i terroryzmu, nieustannie snuje opowieść o tych dwóch zagrożeniach dla ludzkiej wolności, które niczym klamra spinają minione i obecne stulecie. Jednak jego grafiki nie są prostą konstatacją faktów, nie powinno się ich także odczytywać jako jednoznacznej diagnozy czy prostego komentarza... Celem artysty nie jest bowiem udzielanie odpowiedzi w duchu prawdy objawionej, lecz nieustanne stawianie pytań, które, zmuszając odbiorcę do refleksji, mają szansę wyrwać go z powodzi medialnej papki, oderwać od migocących ekranów (do których estetyki Stefan Kaczmarek niekiedy nawiązuje) i skierować jego spojrzenie na zewnątrz, na świat, który – nawet jeśli balansuje na krawędzi kolejnej katastrofy – wciąż kryje w sobie zalążek nadziei na ocalenie.

dr Marta Raczek-Karcz

Prezes Stowarzyszenia Międzynarodowego Triennale Grafiki w Krakowie



Stefan Kaczmarek: *Procesja*, 2013, serigrafia, 100x280 cm